Nr. 22. **Rok 14.**

PRZYJACIEL LUDU.

Leszno, *dnia 29. Maja 1847.*

Kilka słów o stanie obecnym literatury Polskiéj, a w szczególności o powieściach J. J. Kraszewskiego „Czasy Zygmuntowskie" i J. Korzeniowskiego „Kollokacya" (ciąg dalszy). — Żywot Kordeckiego. — Poezya: Moje bogactwo — Dalszy ciąg zbioru pieśni Colberga.



Widok miasta Veracruz i twierdzy San Ulloa.

Kilka słów o stanie obecnym literatury Polskiéj, a w szczególności o powieściach J. J. Kraszewskiego: „Czasy Zygmuntowskie“ i J. Korzeniowskiego: „Kollokacya.“

(Ciąg dalszy.)

Autor *Spekulanta*, o którym w Nrze. 35. r. z. zdanie moje umieściłem, obdarzył nas nową powieścią, p. t.: *Kollokacya*; a chociaż jéj tak wysoko nie cenimy jak pierwszą, jednakże tyle zadowolenia w nas wzbudziła, żeśmy ją od początku do końca chętnie czytali. Nie jest ona tak wykończoną, jak Spekulant, nie ma tyle różnych, wybitnie oznaczonych charakterów; ale za to przedstawia nam równie piękny ideał życia obywatelskiego. Jeżeli bowiem w Spekulancie pan marszałek Zabrzeziński ma przedstawiać wzór zamożnego obywatela, w Kollokacyi znajdujemy równie piękny, a może jeszcze czuléj do serca przemawiający obraz małego zaściankowego, zagrodowego ślachcica w familii Starzyckiego. Nikt zapewne nie zaprzeczy, iż cała treść powieści najślachetniejsze w nas budzi uczucia, wystawiając razem w całéj śmieszności słabe strony schorzałych charakterów. Powiedziałem z góry, że Kollokacya ma mniéj zalet niż Spekulant. Dość często powtarza się autor, a tém nas nudzi bez potrzeby; tak schybił w opisie grymasów prezesa Zagartkowskiego, podobnie w skreśleniu karykatur z Czapliniec. Daléj charakter Józefa Starzyckiego, a szczególniéj panny Kamilli, nie zdaje nam się być dosyć naturalnym; panna Kamilla jest więcéj osobą wymarzoną, niż rzeczywistością z świata ideałów. Lecz pominąwszy te wady, tyle piękności, tyle miejsc pięknych i wiernych znajdujemy, iż praca ta długo nas zajmować będzie. Przytém ma tę wielką zaletę, iż dotykając stron najdelikatniejszych, nie działa na rozmarzenie wybujałéj imaginacyi, lecz na uślachetnienie serca. Dla tego zalecić tylko mogę tę książkę, aby w ręku młodzieży się znajdowała i przez liczne ideały na wykształcenie jéj duszy korzystnie działała. Z resztą ustęp z powieści najlepiéj nas o tém przekona i dla tego umieszczam z niéj obraz dworka ślachcica:

„Trzy są u nas typy w mieszkaniach wiejskich, odróżnione od siebie wielkością, architekturą i rozporządzeniem wewnętrzném, to jest: pałac magnata, dom zamożnego obywatela i dworek ślachcica. Do tych ostatnich należało mieszkanie państwa Starzyckich. W samym środku wsi położone, odznaczało się od innych dworków porządkiem, czystością, obszernością i miłym widokiem dostatku, którego każdy prawie obywatel ma dosyć, byle się chciał we właściwych sobie granicach utrzymać! Pan Starzycki nie więcéj miał od kilku innych posiadaczów Czapliniec; ale wiedział dokładnie, co ma, czego może żądać, co sobie pozwolić, a w czém odmówić. To stateczne i ciągłe rozmierzanie sił własnych i nieprzedsiębranie niczego, coby je przewyższało, było najgłówniejszym gospodarskim przymiotem tego właściciela i najistotniejszym źródłem jego zamożności. Z tego przymiotu wyrodziły się i inne. Bo żeby ciągle wiedzieć, co się ma, znać własne siły, trzeba to, co je stanowi, mieć ciągle przed oczami, a zatém mieć je w porządku, w całości, w dobrym stanie i w dobrym schowaniu. Żeby do tego przyjść, trzeba polubić porządek, trzeba go ciągle utrzymywać, przyuczać do niego dzieci i sługi. Zeby ten ważny rezultat otrzymać, trzeba być ciągle zajętym, czynnym, czujnym, oko gospodarza mieć wszędzie i zawsze. Stąd pracowitość, stąd rozumne użycie czasu, stąd brak marnotrawstwa w chwilach życia i w tém wszystkiém, co je utrzymuje, co je uprzyjemnia; stąd owa spokojność o jutro, która daje zdrowie ciału, wesołość twarzy, uprzejmość i dobroć dla dzieci i domowników; stąd nareszcie owa istotna niezależność, polegająca na wybiciu się z pod tyranii potrzeb nad stan, i chęci nad siły.

To usposobienie gospodarza odbiło się wszędzie, w jego pomieszkaniu, w jego rodzinie, w jego domownikach i poddanych. Powiedzieliśmy wyżéj, że dworek pana Starzyckiego leżał w samym środku wsi, na prawéj stronie drogi, która ją wzdłuż przerzynała. Był on wsunięty cokolwiek w głąb wioski, a przed nim znajdował się plac nie wielki i pusty. Podwórze obniesione często kołem, ozdabiały wielkie topole. Było ono obszérne i czyste. Z lewéj strony jego był ogród nie wielki, złożony z młodych drzew fruktowych najlepszych gatunków; z prawéj strony był drugi dziedziniec gospodarski, na którym w podkowę wszystkie zabu-

dowania gospodarskie. Równolegle do ulicy w głębi podwórza stał dom właściciela, nie wysoki, nie zbyt wielki, pod dachem słomianym, ale ściany jego były białe, okna o sześciu szybach czyste i całe, a na samym środku był ganek obszérny, nakryty, wyheblowany, z ławeczkami do siedzenia i mający z obu stron po dwa wielkie klony, których szérokie liście dawały latem chłód, cień i zielonemi kitami zaglądały do ganku i na białych rysowały się ścianach. Z ganku wchodziło się do wielkiéj sieni, z któréj w środku były drzwi do spiżarni pani Starzyckiéj, na lewo do trzech pokojów, stanowiących ich pomieszkanie; na prawo do pokoju próżnego, gdzie mieszkał syn Józef, kiedy odwiedzał rodziców i z którego wchodziło się do dwóch pokoików, gdzie mieszkał ojciec gospodarza i jego matka. Za domem ciągnął się ogród warzywny, daléj stary ogród fruktowy, zakończony nie wielkim brzozowym laskiem i sadzawką. Wszędzie widać było ślad porządku i czujności gospodarza i gospodyni: na dziedzińcu było prawie sucho, ganek był wymyty, podłogi wszędzie wyheblowane i jak nowe, meble z jesionu obite płócienkiem szarém, wyszytém czerwonemi i czarnemi sznureczkami; nigdzie nic modnego, ale ani starego i obszarpanego; wszystko na równi ze stanem odpowiadało możności, wygodzie i istotnéj potrzebie.

Do takiego to domu, gdzie panowała cichość, zgoda, miłość i wesołość, wjeżdżał z bijącém sercem nasz młodzieniec całym kłusem dzielnych swych koni. Obejrzał się w koło, czy gdzie kogo nie obaczy, i nie dojechawszy jeszcze do ganku, zatrzymał nagle Michasia w połowie dziedzińca, wyskoczył z bryczki i pobiegł ku fórteczce ogródka na lewo. Wyszedł z niéj starzec wysoki, pełny, z twarzą jeszcze świéżą, oznaczającą czerstwość i zdrowie. Miał na sobie kurtkę manszestrową czarną, sukienną kamizelkę, na głowie jasno-popielatą zajęczą czapeczkę miękką i ciepłą, która z fantazyą i cokolwiek na bok nałożona, odkrywała włosy srébrne, spadające na stronie. Nie wielkie wąsy białe zakrywały wierzchnią wargę, a w oczach jego siwych i na ustach jeszcze rumianych, zajaśniał uśmiech radości i szczęścia. Na lewém ręku miał toporek, który był nieoddzielnym towarzyszem jego wędrówek po ogrodzie, a w prawém trzymał ręczną piłeczkę, którą widać suche gałęzie odpiłowywał. Był to dziadek naszego młodzieńca, dziadzio familijny. Tak go nazywali wnuki, tak synowa, tak słudzy i poddani.

— Jak się masz mój drogi chłopcze! — zawołał czystym głosem i uściskał wnuka, który ręce jego całował. — Oho! i ty tu mosanie amor! — rzekł do legawca, który wyskoczył za panem i stał z boku, patrząc na nich bystro i kiwając ogonem. Pies zapiszczał od radości, gdy do niego starzec przemówił, spiął się na jego piersi i twarz jego lizał. Gdy się to działo na dziedzińcu, turkot bryczki i brzęk kółek chomątów, wywołał z domu i resztę familii. Stał na ganku ojciec pana Józefa, stała matka, stała siostra, a wkrótce za niemi wyszła nie wielka, cokolwiek przygarbiona staruszka z laseczką w ręku, i rozpychając synowę i wnuczkę, wysunęła się na przód i do faworyta swego wyciągała drżące ręce. Upadł jéj do nóg młodzieniec, a gdy powstał przeżegnany, powitał z uszanowaniem ojca i matkę i chwycił w objęcia siostrę, która śmiała się i płakała razem.

Gdy wszyscy poszli do pokoju, oddani wspólnéj radości powitania; gdy babunia usiadła w swojém krześle i posadziła obok siebie swego Józia; gdy matka poszła już z kluczami do spiżarni, aby jeszcze jaki przysmaczek przydać do zadysponowanéj już kolacyi; gdy Anusia pobiegła do swojéj szafki i wybierała garnuszeczek śmietanki z najlepszym kożuszkiem do kawy; gdy dziadzio karesował amora i wypytywał go, wiele bekasów spłoszył, wiele kaczek nie zniósł; gdy ojciec milczący i poważny przechadzał się z wolna i poglądał z rozrzewnieniem to na rodziców, to na syna; my tymczasem poznajmy się cokolwiek bliżéj z tą zacną rodziną, która, jak się domyślam, zainteresowała już każdego, kto ceni poczciwość Staropolską i wysłużone rozumem i cnotą błogosławieństwo Boże.

Pan Wincenty Starzycki, dziadek familii, wychowany w Polsce w domu pani Kurdwanowskiéj, Starościny Baranowskiéj, któréj imieniem i tytułem zaprawione było każde jego opowiadanie, przeniósł się na Wołyń w r. 1785 i tam rządził długo majątkiem Hrabiego S**, który w nagrodę jego usług i uczciwości dał mu na dziedzictwo w Czaplińcach piętnaście chat z dworkiem i zabudowaniem. To był po-

cząteк jego fortuny, która powiększyła się nie wiele, ale powiększyła się istotnie przez oszczędność, porządek, dobre zagospodarowanie, i taki był stan tych kilkudziesięciu chłopków, że każdy miał najmniéj parę wołów, parę koni, kilka krów, czystą i porządną chałupę, ogród, całą stodołę i szopę. Gdy się syn jego Hipolit w r. 1811 ożenił, ojciec zdał mu gospodarstwo, przyuczał do porządku i oszczędności, patrząc z ukontentowaniem, że nauki jego nie idą w las, że syn z całą energią młodego wieku brał się do dzieła, i prowadził wszystko z rozsądkiem i zimną krwią, którą stary ślachcic pochwalić się nie mógł. Tym sposobem szły rzeczy zgodnie w miłości, porządku i zaufaniu. Powiększono dworek, założono nowy ogródek, poprzerabiano gospodarskie zabudowania, i tak zwolna, stopniami, ciągłém staraniem, ciągłém rozmierzaniem sił i przedsięwzięć, przyszedł ten folwarczek do tego kwitnącego stanu, w którym się znajdował w r. 1838, to jest w epoce tych wypadków, któreśmy opisać przedsięwzięli.

Znają już czytelnicy mniéj więcéj naszego dziadzia, dodam tylko, że to był człowiek kardynalnie uczciwy, ale gorączka. Każda podłość, każda krzywda bliźniego oburzała go niezmiernie. Przywykły w młodości do korda, w późniejszym wieku zachował tylko laskę grubą czereszniową, znajomą w całym domu pod nazwiskiem generyczném czereszni, którą się odgrażał często krzywdzicielom czy możnym, czy ubogim, czy bliskim, czy dalekim. Wszakże czeresznia nigdy nie była w użyciu; stała ona spokojnie w tym kącie pokoju dziadziowego, gdzie wisiała jego dubeltówka, jego borsucza torba, rogowa trąbka i pas skórzany z ładunkami. Oddawna już dziadzio nie wtrącał się bynajmniéj do gospodarstwa, widząc, że syn lepiéj nawet rzeczy prowadzi od niego; ale pod wyłączną i bezpośrednią jego dyrekcyą znajdował się ogród. Całe lato o czwartéj z rana, w maszestrowéj kurtce, z popielatą czapeczką na bakier, z toporkiem na ręku i z krubką pasieczniczą, w któréj nosił swoje narzędzia ogrodnicze, wychodził do ogrodu. Tam nie cierpiał żadnéj kontradykcyi i od nikogo téż jéj nie doznawał. Wszyscy szanowali nawet jego wymysły ogrodnicze, w których wszakże nie upierał się długo. Miło było patrzeć na fantazyą starca, gdy niósł z tryumfem piérwszą wiązkę szparagów, piérwszych kilka truskawek, lub parę wiszenek tylko co dośpiałych, i oddawał synowéj, którą nadzwyczajnie kochał, i któréj się zwykle te primicye industryi dziadziowéj dostawały. Oprócz ogrodu miał jeszcze swoję komórkę, gdzie był warsztat stolarski, narzędzia ciesielskie i ogrodnicze. Tam przesiadywał całe dni słotne, wyrabiał różne drobiazgi, reperował brony, pługi, wózki i t. d. Zawsze czynny, zawsze wesoły, umiał mnóstwo piosneczek do każdéj okoliczności, mnóstwo dykteryjek i powieści, które się zwykle kończyły jakimściś szczegółem o domu pani Kurdwanowskiéj, starościny Baranowskiéj. Wieczorem grywał w maryasza z żoną, staruszką cokolwiek schorowaną, już przygarbioną i bladą, ale miłych rysów, jeszcze zupełnie przytomną, czystą, okrzątną w stroju i przywykłą ulegać mężowi i szanować nawet jego kaprysy, za które ją późniéj serdecznie przepraszał. Jednę wszakże miała słabość i uprzedzenie ta zacna kobiéta, i w tém nikt nie śmiał być innego z nią zdania. Podnosiła się ona zawsze i prostowała jak mogła, gdy rzecz szła o jéj faworyta, jéj wnuka, pana Józefa. Właśnie nie dawno w skutek téj predylekcyi babki przyszedł nasz bohatér do owéj nietyczanki, która jak port przypadkowy dała przytułek pięknéj podróżnéj, bliskiéj zatonienia w kałuży. Ofuknęła się staruszka na męża i na syna, którzy znajdowali, że wydatek ten niepotrzebny i zbytkowy, i postawiła na swojém. Widziała ona w panu Józefie wszystkie doskonałości, i broń Boże było zaprzeczyć. Miał on wprawdzie wiele przymiotów; ale dalekim był od tych perfekcyi, o których marzyła babunia. Mniéj była pobłażliwą dla wnuczki, chociaż serdecznie kochała Anusię, ładną blondynkę z ślicznemi niebieskiemi oczami, posłuszną, potulną, ale rozumną i gotową zawsze na każde zawołanie babuni.

Różnym był w wielu względach od ojca syn jego Hipolit Starzycki, teraźniejszy gospodarz tego domu. Bardziéj oświecony, lubiący czytanie i zajęty często książką w chwilach swobodnych, nie miał on żywości i wesołego humoru starca. Często zamyślony, głęboko zastanawiający się nad wszystkiém, co się koło niego działo, zawsze serio patrzył na życie ze strony jego poważnéj; każdy swój obowiązek roztrząsał, widział wszystkie jego wymagania



Ksiądz Augustyn Kordecki.

i konsekwencye, i z każdego kroku zdawał przed sobą samym ścisły rachunek. Pełen uszanowania dla rodziców, długo, a nawet i teraz niekiedy radził się starego ojca. W zatargach nieuchronnych z tylu sąsiadami, zawsze ustępował piérwszy, jeśli wina była jego ludzi; lecz krzywdy sobie zrobić nie dał i zadzierać się z sobą kłótliwéj ślachcie nie pozwalał. Nie był on mściwy, ale energiczna jego dusza, zapominając krzywdę, gardziła krzywdzicielem. Żonę kochał nad życie, chociaż jéj tego nie okazywał. Przywykła już ta deli-

katna, dobra i ładna kobiéta do takiego obchodzenia się męża. Od szesnastego roku życia znajdując się pod jego kierunkiem, poznała go doskonale i wiedziała dobrze, że pod tym obojętnym pozorem jest uczucie pełne głębokości i siły. Ale za to jakąż cenę miało uściśnienie, gdy czasem w chwilach smutku lub radości położyła jasną swą i małą główkę na jego szérokiéj piersi, i poczuła się w tym męzkiém i opiekuńczém objęciu. Pan Hipolit Starzycki był wysoki, silnie zbudowany, cokolwiek łysy, skromny w jedzeniu i napoju. Od dawnego czasu zarzucił frak i chodził zawsze w jasnym sieraczkowym surducie, a latem przy gospodarstwie w płóciennéj szaréj czamarce z czarnemi potrzebami.

Takie było personale téj zacnéj rodziny. Niech się nikt nie dziwi, że nie było w niéj żadnego wyrodka, żadnéj karykatury; bo jak powiedzieliśmy, dom ten kwitnął pod błogosławieństwem Bożém, wysłużoném poczciwemi myślami, pobożném poddaniem się, czystością obyczajów, umiarkowaniem i pracą.

Punktualnie o 9téj, wszyscy w domu pana Starzyckiego rozchodzili się do siebie. Wtenczas matka przyrządzała dla wszystkich czystą bieliznę, jeśli to była środa lub sobota, i roznosiła ją najczęściéj sama mężowi, dziadziowi i babce; Anusia odświéżała czépeczek i kołnierzyk dla matki i dla babki; ojciec przepatrywał w swojéj kancelaryi rachunki lub czytał; dziadzio pochodził po piérwszym pokoju naprzeciwko i odmawiał pacierze; a babunia siedząc w swojém krzesełku przy zasłaném już łóżku z paciorkami w ręku, odmawiała jeden pacierz za męża, jeden za dzieci, jeden za wnuków w ogólności, jeden za siebie, jeden za dusze zmarłe, a potém dwa cichaczem i osobno za pana Józefa. Tymczasem w domu i obejściu było już cicho i spokojnie. Wszystkie wnijścia były pozamykane, wszyscy słudzy byli na swoich miejscach; konie, bydło i drób, wszystko to było zamknięte i opatrzone; bo zaraz po wieczerzy, która się kończyła o ósméj, gospodarz domu latem i zimą, w pogodę i słotę, obchodził cały dom, zaglądał wszędzie, widział wszystko własném okiem, i potrzebne wydawał dyspozycye. Tak było co dzień, i do tego porządku, którego nigdy nikt nie psuł, przyzwyczajeni byli i członkowie familii i domownicy. Dziś z okazyi przybycia pana Józefa, był on cokolwiek naruszony. Gdy bowiem o godzinie dziewiątéj wszyscy oddali sobie dobranoc, ojciec odchodząc do swojéj kancelaryi, zawołał jeszcze za sobą syna. Tam pan Józef musiał mu zdać sprawę ze wszystkiego, co się tyczyło mająteczku matki, składającego się ze czterdziestu dusz i leżącego w Latyczowskim powiecie na Podolu, a którego rząd zupełny był mu od lat czterech oddany. Konferencya ta trwała blisko z godzinę. Nakoniec ojciec kontent z syna, i widząc, że rzeczy bierze serio, że zna wszystkie najdrobniejsze szczegóły, pochwalił go, podał mu rękę i kazał pójść odpocząć po drodze. W całym domu była cichość głęboka. Matka już była w łóżku, ojciec kładł się, dziadek i babka już spali. Gdy pan Józef przechodził przez piérwszy pokój, postrzegł koło drzwi matczynych postać białą, która się do niego cicho zbliżyła. Była to Anusia.

(Dokończenie nastąpi.)

Augustyn Kordecki.

Jeżeli lud Polski w głębokiém uczuciu religijném tkliwe i błagalne uczucia do świątyni Jasnéj - Góry przesyła i szczerze pragnie, aby mu kiedyś Opatrzność dozwoliła, zbliżyć się do przybytku królowéj i patronki swego narodu; nie mniejszego doznaje zapewne wzruszenia, gdy sobie przypomni pamiątki, które Jasną - Górę z dziejami ojczystemi łączą. Lecz przedewszystkiem dumą zajaśnieje czoło jego, gdy sobie wystawi obraz oblężenia z roku 1655, kiedy Szwed kraj nasz najechał i cały posiadł, a tylko jedna Częstochowa hołdować mu nie chciała. Wtenczas to jeden mąż, skromny zakonnik, ale pełen ognia i poświęcenia, oparł się ogromnéj przemocy, okrył hańbą wojsko Szwedzkie, a swemu klasztorowi zjednał taką sławę, iż ona tylko z dziejami Polski zaginąć może. Tym mężem był Augustyn Kordecki. Wycierpiała wtenczas Jasna - Góra bardzo wiele, jéj straty były wielkie; lecz za to stanęła tém wyżéj w obliczu ludu. Niezadługo nastąpił pokój, klasztór zaczął używać w zaciszu dawnego szczęścia, na chwilę nawet zabrzmiały jego mury odgłosem radości i wesołości światowéj, gdy król Michał Wiszniowiecki zaślubiał w téj świąty-

ni księżniczkę Austryacką; lecz po tych godach weselnych, po owych dniach radości publicznéj, inne zupełnie we trzy lata późniéj odbijały się odgłosy o poważne mury świątyń Jasnéj-Góry. Ostatnich dni Marca roku 1673 zakonnicy Śgo Pawła nie już hymnem ambrożyańskim witali dostojnych królów swoich, ale ze smutném obliczem i pochylonémi głowy na piersi żałością obciążone śli w milczeniu, ze świécami żałobnemi w dłoniach, spotykać u drzwi kościelnych zwłoki swojego zwierzchnika i bohatéra zakonu. Sławny i czcigodny Kordecki pędząc resztę chwalebnego żywota na posłudze publicznéj jego, wezwany został przed tron Stwórcy po nagrodę za dopełnienie wielkiego powołania swego na ziemi. Życie jego całe było pasmem nieograniczonych poświęceń się dla obowiązków stanu, który obrał sobie wstępując do zakonu Paulinów. Urodził się w Iwanowicach, w województwie Kaliskiém, około r. 1605, z rodziców zapewne rolników lub téż ubogich mieszczan. Może wzmiankowani w metryce kościoła Iwanowskiego z r. 1620 Jan i Agniészka Kordasowie należeli do jego rodziny! Imię jego światowe było Klemens, które podług obyczajów zakonnych przyjmując habit zamienił na Augustyna; obleczony zaś był 25. Marca roku 1634, w 30. więc roku życia swego uczynił professyą. Ciągle prawie dla wielkiego rozsądku, pobożnych i surowych obyczajów, oraz prawości charakteru i czynnego umysłu, zajmował urzędy w swojém zgromadzeniu. Był naprzód w Oporowie, potém w Pińczowie przeorem, a na Jasnéj-Górze po cztérykroć, to jest w latach 1650, w pamiętnym roku oblężenia jéj 1655, w r. 1663 i 1666; prowincyałem w Polsce i Szląsku obrany w latach 1657, 1660, i 1671, na którém dostojeństwie aż do śmierci zostawał. Prócz tego, razem z przeorstwem połączył w roku 1666 obowiązek wikarego prowincyi, czyli zastępcy prowincyała. Ale powiedzmy raczéj, że prócz przewodzenia zakonem swym, prócz spełniania wszystkich powinności kapłańskiego stanu, Kordecki stał się mężem wielkiego czynu, obrońcą miejsca czczonego w całym narodzie, a wniém obrońcą kraju. Dopełniwszy swego wielkiego powołania, powrócił z całą prostotą duszy cnotliwéj do skromnych, aczkolwiek mozolnych obowiązków życia zakonnego; gdzie znany od braci jako surowy przestrzegacz praw i obyczajów jego, jako wielki gospodarz i pracowity przełożony, musiał przyjąć w sędziwym już wieku cały ciężar rządów zgromadzenia. Gorliwie się niemi zajmując, i pomimo słabiejących już sił, całą zimę nazbyt ostrą r. 1673 objeżdżając klasztory Paulińskie, wpadł nakoniec w ciężką chorobę w Wieruszowie dnia 16. Marca, odbywając wizytę tamtejszego klasztoru. Nic nie pomogła troskliwość wikarego prowincyi, który na odgłos słabości Kordeckiego pospieszył doń, sprowadziwszy lekarza z Kalisza i lekarstwa z Wielunia; Kordecki oddał Bogu dzielnego ducha swego w samo południe dnia 20. Marca, przygotowany na śmierć jako Chrześcianin i zakonnik. Bracia jego, pustelnicy Śgo Pawła, świadkowie jego pamiętnych czynów w oblężeniu Jasnéj-Góry, uznając, że na tém tylko miejscu, na którém imię swe uwiecznił za życia w pamięci potomnych, powinien spoczywać po zgonie, przenieśli tu zaraz szanowne zwłoki i z należną czcią pogrzebli obok tych zakonników, którzy go do wieczności uprzedzili. (*)

Moje bogactwo.

Jam sobie wolny, a z moją piosnką
Nie chcę w książęcym grobie spoczywać,
Chcę tylko miłość wypieścić boską
I w jéj krainach duchem przebywać;
Nie mam pałacu, by z jego szczytu
W rozległe ziemie poglądać dumnie,
Jak ptak na gniaździe wśród skał z granitu,
Bo tylko piosnka bogactwem u mnie.

Gdybym był szczęścia szukał w urzędzie,
Możebym dzisiaj nie był tak bieden,
Lecz ja dostojeństw nie mam na względzie,
Nie chcę się czołgać jak tam nie jeden;
Nigdym i razu nie sięgał po to,
Za czém służalcy biegają tłumnie,
Bo zawsze śpiewam: droższą nad złoto,
Nad wszystkie skarby, jest piosnka u mnie.

Bogaczom złoto jak rzeka płynie,
A moje złoto w słońca promieniach
Czasem mi ono zabłyśnie w winie,
Z księżyca srebro tryska w strumieniach.
A kiedy wiosna życia ucieka,
Złotym mi jesień kwitnie spokojem,

(*) Acta Provinciae V. 379.

Na mój majątek nikt tam nie czeka,
Bo tylko piosnka bogactwem mojém.

—

Wieczorną dobą lubię zaśpiéwać,
Lecz na pochlebstwa głosu nie stroję;
Lubię marzeniem w niebie przebywać,
Lecz po pałacach... wcale nie stoję. —
Nie jeden w pośród burz i zamieci,
Goni za szczęścia gwiazdki złotemi,
Mój głos po różach z wietrzykiem leci,
Że nic nad piosnkę nie ma na ziemi.

—

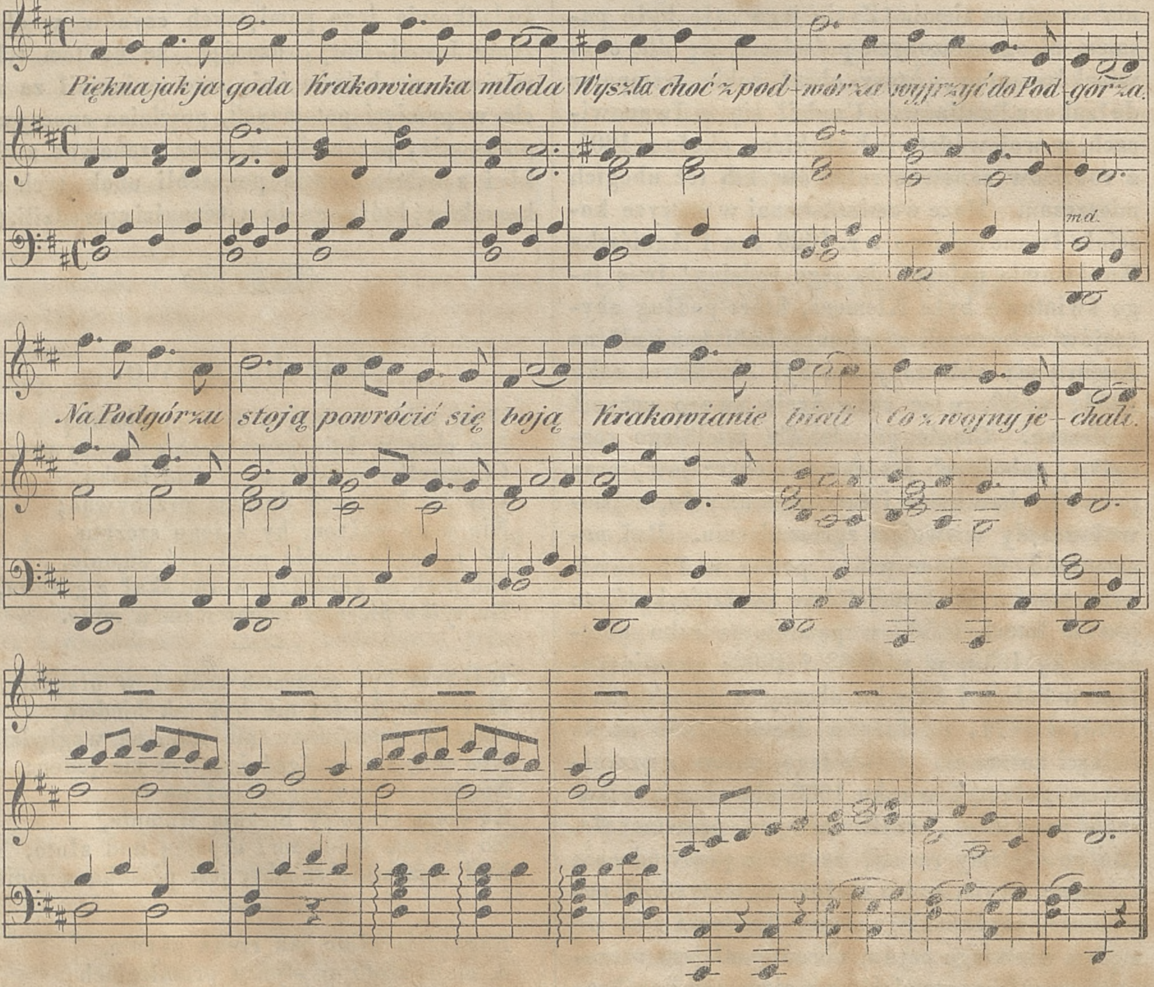
Ciebie, o luba! chciałbym posiadać,
Lecz tobie bale, cacka się roją;
Chcesz serca mego uczuciem władać,
Chcesz, bym ci służył piosenką moją —
Nie! Ja wolności mojéj nie sprzedam,
Gardzę pałacem i złotym znojem,
Miłości w serce zakraść się nie dam.
Piosnka najwyższym jest szczęściem mojém.

Borowo, dnia 12. Stycznia 1847.

Text do *Nru. 196.*

Piękna jak jagoda,
Krakowianka młoda,

Nº 196. KRAKOWIAK *z Krakowa.*



Wyszła choć z podwórza,
Wyjrzyć do Podgórza.
Na Podgórzu stoją,
Powrócić się boją,
Krakowianie biali,
Co z wojny jechali.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: Dr. *Szymański.*)